Kraków, 10-go sierpnia 1913 r.

Rok 9. Nr. 16.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 32.

Dzieci kochane!

Za kilka dni będziemy święcić pamiątkę najszczęśliwszej chwili w życiu Matki Najświętszej: Jej chwalebne Wniebowzięcie. Pomyślcie sobie, jaka to radość niepojęta przepełniała serce Matuchny Bożej, kiedy po kilkunastu latach rozłączenia znowu zobaczyła Najdroższego Syna Swego Pana Jezusa, już nie ubogiego jak w żłobku betleemskim, ani nie umęczonego, jak na krzyżu, ale w chwale wielkiej, w otoczeniu Swiętych i Aniołów. I już nie na chwilę, nie na lat kilka, ale na zawsze, na wieki pozostać miała Matka Boża w towarzystwie Tego Najmilszego Swego Syna. Więc też, dzieci kochane, winszujcie Matuchnie Najświętszej tego szczęścia i już teraz przed Jej świętem myślcie często o niem, a proście gorąco, abyście i wy i wszyscy ludzie także tej chwili szczęśliwej doznali, byśmy wszyscy na wieki, w niebie wśród wesela i radości żyli razem z Matką naszą Maryą. Gdy zaś nadejdzie dzień Wniebowzięcia (15 sierpnia) wysłuchajcie pobożnie Mszy św. i przystąpcie do spowiedzi i Komunii św. Proście Matki Najświętszej, aby Ona Sama pomogła wam dobrze się wyspowiadać i jak najgodniej przyjąć do serca czystego Pana Jezusa. Ona tak bardzo was kocha, więcej nawet niż mama rodowa, a nic bardziej dla was nie pragnie, jak abyście zawsze miały czyste, niewinne serduszka. Gdy zaś dziecko zabrudzi duszę grzechem, Matka Najświętsza całem sercem spieszy mu na pomoc, aby obmyło ten brud, już nie wodą i mydłem, jak ręce zbrudzone, ale Najśw. Krwią Pana Jezusa w Sakra-

mencie Pokuty. Więc idźcie dzieci do Spowiedzi, szczerze powiedzcie wszystkie wasze grzechy, przeproście za nie serdecznie Pana Jezusa, przyrzeknijcie Mu poprawę, a tem najbardziej ucieszycie Matkę Najświętszą.

Co dziki gołąb opowiadał Tomkowi?

(Dokończenie)

— Mówiłam, że dwa jest dosyć dla gołębia — tłomaczyła gołębica. — Zresztą kury i bażanty nie potrzebują troszczyć się o wyżywienie swoich małych, bo ludzie dają im żywność. My co innego...

— I dlatego kury i bażanty znoszą tak dużo jaj — objaśnił gołąb. — Ludzie dają im ziarno, a one same znajdują wszędzie mnóstwo robaków dla swoich dzieci. Nasze dzieci robaków nie jedzą.

— Bo też to jest wstrętne: zjadać żywego robaka, na surowo! Pfe! otrząsnęła się gołębica.

— A czymże żywią się wasze dzieci? spytał Tomek.

— Tym samym, co i my — odrzekła gołębica. — Ale najpierw musimy połknąć to sami, gołąb i ja, żeby przekonać się, czy dobre...

Tomcio bardzo się dziwił i nie mógł pojąć, jak można żywić kogoś tym, co się samemu połknęło. Zapytał więc:

— Jeżeli wy sami zjecie to, co jest przeznaczone dla waszych dzieci, to im nic się nie dostanie?

— Dostanie się wszystko, ale nie zaraz — objaśnił gołąb. — Po chwili wkładają one swoje dziobki w nasze otwarte dzioby i połykają jedzenie, już przygotowane dla nich, które powraca nam do gardła.

— Ależ to obrzydliwe! — zawołał Tomek.

— Zapytaj naszych dzieci, czy obrzydliwe! — odparła łagodnie gołębica. — One najlepiej ci na to odpowiedzą.

— Im to bardzo smakuje — dodał gołąb.

— Nic dziwnego. To, co my połykamy, jest twarde i zimne — tłomaczyła gołębica. — A gdy im oddajemy jest miękkie i ciepłe, jak ugotowane, coś w rodzaju mleka. Nie każdy ptak żywi w taki sposób swoje młode...

— Wiem — odrzekł Tomek. Często widuję, jak ptaki niosą w dziobku robaki albo gąsienice dla swoich dzieci i oddają je im zaraz.

— To jest bardzo pierwotny sposób karmienia piskląt — odpowiedziała gołębica. — My już umiemy przygotować jadło dla dzieci i nie dajemy im surowizny.

— Zresztą — dodał gołąb — my żywimy się ziarnem i nasionami roślin, więc zawiele zajęłoby to nam czasu, gdybyśmy z każdem ziarnkiem powracali do dzieci. Nie moglibyśmy nadążyć, a one byłyby godne. Dlatego radzimy sobie w inny sposób i zdaje mi się, że tak jest najlepiej.

— Czy tylko gołębie tak robią? — pytał Tomek.

— Nie umiem ci tego powiedzieć — odrzekła gołębica. — Ale zdaje mi się, że inne ptaki naśladują nasz przykład.

— Lecz nie wszystko im się udaje — dodał gołąb. — Nie umieją naprzykład pić wody tak, jak my pijemy.

— A jakże wy pijecie? — zagadnął Tomek. — Czy inaczej, jak wszystkie ptaki?

— Zupełnie inaczej — tłomaczył gołąb. — Każdy ptak bierze potrosze wody do dziobka, a potem podnosi głowę i woda spływa mu do gardła, ale my, gołębie, wstydzilibyśmy się pić w taki sposób. Zanurzamy dziób w wodzie po same oczy i wciągamy wodę do gardła. Nie podnosimy wcale głowy do góry.

— Dlaczego? — spytał Tomek. — Jeżeli inne ptaki tak robią, musi to być dobrze.

— Ale nie dla nas — odpowiedział po namyśle gołąb.

— Powiedzcie mi, dlaczego? — nalegał Tomek.

— Bo to nie po gołębiemu! — objaśniła gołębica. — To najważniejszy powód...

Mówiła to z głębokiem przekonaniem i Tomek zrozumiał, że nie można jej przeczyć.

— Gdyby tu była gdzie blisko woda, pokazałbym ci, jak piję — powiedział gołąb — ale trzeba do niej daleko lecieć. Przypatrz się gołębiom domowym na waszem podwórzu, a sam zobaczysz, że i one tak robią. To już zwyczaj całej naszej rodziny, czy żyje w lasach, czy u ludzi na podwórzach. Teraz przelecę się trochę, a ty, jeżeli chcesz, możesz zostać i rozmawiać z gołębicą. Wrócę za godzinę.

Tomek musiał już wracać do domu, bo lekcje zaczynały się o jedenastej, a przecież nie mógł spóźnić się, choć bardzo dobrze bawił się z gołębiami.

— Chciałbym tylko — zaczął — żebyś mi opowiedział, zanim odlecisz, co robisz przez cały dzień?

Ale zanim Tomek to wyrzekł, posłyszał szum i szelest skrzydeł — i gołąb znikł.

— On jest bardzo prędki — usprawiedliwiała go gołębica. — Nie można go powtrzymać, kiedy czegokolwiek zapragnie. A serce ma jak najlepsze. A jaki to dobry ojciec: pomaga mi żywić dzieci i razem ze mną pracuje nad przygotowaniem im jadła. Kiedy siedzę na jajach, pozwala mi schodzić z gniazda i fruwać; sam zastępuje mię wtedy i codziennie przez parę godzin południowych osłania jajeczka, dopóki nie wrócę... Jeżeli jesteś ciekawy dowiedzieć się, co robimy przez cały dzień, opowiem ci jak najchętniej. Budzimy się wcześnie, o świcie, a o szóstej już wylatujemy na śniadanie. Po trzech albo czterech godzinach wracamy do lasu, rozmawiamy i gruchamy przez całą godzinę. Potem lecimy do wody napić się i wykąpać. — I to najprzyjemniejsza chwila z całego dnia. Wracamy z kąpieli, trochę zmęczeni i śpiący, siedzimy więc spokojnie na drzewie do drugiej po południu. Wtedy czas na obiad, lecimy znowu i szukamy pożywienia do piątej. Po obiedzie najlepiej siedzieć wśród liści i gruchać spokojnie. Potem znowu pijemy wodę o chłodzie wieczornym i wracamy na drzewo na nocleg.

— Niby do łóżka? — zapytał Tomek.

— Tak, zamiast łóżek mamy gałęzie drzewa — odrzekła gołębica. — Na nich sypiamy.

— Ale na gałęziach trochę twardo i chłodno?

— Wcale nie! zaprzeczyła gołębica. — Mamy piórka i puch, które nam zastępują pościel i kołdrę. Są aż nadto miękkie i ciepłe.

— Ale w nocy na drzewie wiatr musi przewiewać? — zrobił uwagę Tomek.

— I to właśnie przyjemnie — odrzekła gołębica, — Mamy zawsze świeże powietrze. A choć deszcz pada, nasze piórka nigdy nie przemokną, bo woda spływa po nich.

Tomek nic już na to nie odpowiedział a gołębica dodała:
— Teraz wiesz, co robimy przez cały dzień. Życie wiedziemy bardzo — bardzo szczęśliwe. I ten, kto je niweczy, musi mieć okrutne i złe serce!

Tomek to samo pomyślał. Po chwili spytał:
— I tak schodzą wam wszystkie dni, bez zmiany?
— Kiedy wysiadujemy jajka albo wychowujemy dzieci, życie nasze bardzo się zmienia, w zimie również spędzamy czas inaczej. Ale ja ci mówiłam o życiu w lecie, kiedy jesteśmy najszczęśliwsze.
— Widzę, że w lecie przynajmniej jesteście bardzo szczęśliwe. Dziękuję ci, pani gołębico, za wszystko coś mi opowiedziała. Teraz muszę już wracać do domu.
— Jeżeli przyjdziesz tu jeszcze kiedy, może opowiem ci coś więcej! — zawołała na pożegnanie gołębica.

Tomek podziękował i powiedział, że niezawodnie przyjdzie, a potem pobiegł pędem ku domowi, bo obawiał się spóźnić. A gołębica wołała za nim:
— Hu-u, hu-u, hu-u. A przyjdź znowu-u, uu-u do nas tu-u, hu-u hu-u.

O lisie, kocie i kogutku
Bajka pełna łez i smutku.

Bardzo stąd daleko mieszkał kogut z kotkiem,
Mieli małą chatkę otoczoną płotkiem.
Raz pan kotek poszedł do lasu na łowy,
Kazał kogutkowi nie wychylać głowy
Za płotek, bo lis tam ciągle krążył skrycie.
Chciał widać kogutka zagryźć w lat rozkwicie.
Poszedł kot... a kogut siadł sobie na ławie
I patrzył jak kaczki pływają po stawie.
Wtem posłyszał głosik słodki jako miody:
— Co też sobie chłopi narobili szkody!
Toż tu rozsypali z pół ćwierci pszenicy!
Pójdę zwołać kurek z całej okolicy,
Niech użyją ziarna! kogut podniósł oczy:
Widzi to pan lisek tuż pod płotem kroczy.

Idzie coraz dalej... już go krzaki skryły,
— No, no podwieczorek będę dziś mieć miły —
Myśli nasz kogucik — znajdę tę pszenicę,
I nim lis tu wróci, dobrze się nasycę.
Wyszedł po za płotek, powiódł wkoło okiem:
Ziarna ani znaku! a więc szybkim krokiem
Zaczął po gościńcu chodzić w wszystkie strony;
(O, jakżeż kogucik był niedoświadczony!
Nie wiedział, że lis tak poluje na niego).
Już miał rozgniewany iść do domku swego,
Gdy wtem... myk! smyk! gwałtu! toż to lis niecnota!
Oj, czemuś, kogutku, nie usłuchał kota!
Chwycił go lis z tyłu i przez krzaki niesie
Do swej lisiej nory wykopanej w lesie.

. . . .

Coś w godzinę potem wraca kot z obiadu.
Patrzy... chatka pusta, kogutka ni śladu.
Wiedział już, że jest to imć lisa robota.
Wszakże ślady jego widział koło płota.
Zapłakał więc gorzko: — czekaj, mości panie,
Dobrze ci odemnie za to się dostanie!
Raz nasz kotek patrzał w południe gorące,
Jak się pasą owce na poblizkiej łące.
Wtem zobaczył lisa: skradał się do matki,
By jej porwać jagnię, białe w czarne łatki.
— Teraz kolej na cię przyszła lisku drogi,
I zerwał się szybko kot na równe nogi.
Pobiegł tam, gdzie spały dwa psy koło płota.
— Miau! toż się tutaj skrada lis niecnota!
Miau! jagnię porwie, bieżcie tam co siły!
Wnet psy przebudzone w pogoń się puściły.
Przez pola, przez łąki biegł lis, za nim psiaki,
A na końcu kotek. I trwał pościg taki
Przeszło pół godziny. Wreszcie lis wpadł w jamę —
Przed norką zostały psy z kociną same.
— Umknął! lecz ci zbóju, spokoju nie damy.
Będziem tutaj czekać, aż wyleziesz z jamy,
Siadły psy, czekają... a lis w tejże porze,
Taką to rozmowę wiedzie w swojej norze:

— Powiedźcie mi szczerze, oczy me zielone,
Czyście pomagały, bym dobiegł w tę stronę?
— Ależ naturalnie! Myśmy wciąż patrzyły.
Jak psy są od ciebie daleko, nasz miły.
— A wy, ryże uszki? — Myśmy wciąż słuchały,
Blizko czy daleko te pieski szczekały!
— A wy cztery nóżki? — Myśmy przez ugory
Biegły, nam zawdzięczasz, żeś dopadł do nory.
— A ty, mój ogonku? — Jam się pod nogami
Kręcił, chciałem, abyś nie umknął przed psami.
— Ach, ty nic dobrego! Taka wdzięczność za to,
Żem cię lizał, czyścił przez wiosnę i lato!
Wyjdź mi zaraz z nory, poczuj jak to miło,
Kiedy skórę kłami pieski szarpią z siłą!
I tu lisek głupi wytknął z nory kitę.
Zaraz go spostrzegły psy w gęstwinie skryte:
Chrup... chrup... zjadły liska do ostatniej kości.

Jakto w dawnych czasach radzili sobie ludzie.

Bardzo wiele lat temu nie było w Polsce ani domów, ani kościołów, ani kolei żelaznych, ani studni, nie było nic — tylko las i las, a w lesie woda, błocisko, znowu woda i znowu las. Słonko zaglądało z wysoka, bo dobry Bóg kazał mu ogrzewać ziemię. Zaglądało i żałowało ludzi, którzy w lesie po różnych jamach mieszkali.

Grzało więc ludzi słonko, a żywiły ich jagody, orzechy, dzikie jabłka i grzyby surowe. Gotować ludzie nie mogli, bo nie wymyślili jeszcze garnków.

Nie mieli też jeszcze ani butów, ani płótna na koszule, ani stołka, ani nic z tych rzeczy, których teraz używamy.

Ale Bóg dał im rozum i ochotę do pracy.

Zrobili więc naprzód ludzie siekierę; siekierą ścinali drzewa, z drzewa stawiali domy, brzydkie budy, bo innych nie umieli, ale zawsze lepiej im w nich było mieszkać, niż w jamie ziemnej. Siekierą też zabijali wilki, które chodziły po lesie i skórą ich okrywali się od zimna, sypiali także na skórach.

Myślicie może, że pierwsze siekiery wyglądały tak, jak nasze teraz? — otóż wcale nie. Przecież siekiery nasze są żelazne, żelazo robi się z rudy, a o tym sposobie dowiedzieli się ludzie daleko później.

Pierwsza siekiera była zrobiona z kamienia. Kamienie Pan Bóg stworzył, leżały wtedy wszędzie na ziemi. Podniósł więc człowiek raz kamień, zobaczył, że jest ostry, aż mu zadrapał rękę, myślał, myślał, i wymyślił taką rzecz: ułamał gałąź z drzewa, rozszczepił ją na jednym końcu, wsadził w to rozszczepienie kamień, przywiązał go łykiem i... jest siekiera! Nie była to siekiera dobra, bardzo pomalutku rąbała drzewo, ale pierwszy człowiek cieszył się nią bardzo.

Raz ztraszne wilczysko chciało porwać dziecko, wyszczerzyło już zęby, ale ojciec porwał siekierę szach! mach! i zabił wilka siekierą, daleko prędzej niż kijem. A czy wiecie, co zrobiła matka tego dziecka? nie, zaraz wam powiem. Poszukała cienkiego, a ostrego kamienia i póty drugim kamieniem wierciła w nim dziurę, aż wywierciła na wylot. Potem w tę dziurę nawlokła żyłę z zabitego wilka i tą kamienną igłą zeszyła ze skóry ubranie dla dziecka.

Tak to radzili sobie pierwsi ludzie.

W każdej chwili, w każdej dobie,
Bezprzestannie myślę sobie,
By uprzejmym być dla ludzi,
Gdyż niegrzeczność wstręt w nich budzi.

